

Barbara Rusinek

Jadwiga Grzybowska – Pedagog z powołania, z przymusu Sybirak

(o szkole polskiej na Wołyniu w latach 1917–1945)¹

Na Ukrainie, niespełna 30 km od miasta Berdyczowa, leży wieś Listopadówka (dawna nazwa Bogudzięka²). Na początku XX wieku mieszkali tu tylko Polacy. Wioska była dobrze zagospodarowana a ludność bardzo pobożna. Mieszkańcy Bogudzięki marzyli o tym, aby w ich wiosce zbudować mały kościółek, podczas rządów carskich w Rosji było to jednak niemożliwe. Po zakończeniu wojny rosyjsko-japońskiej we wrześniu 1905 roku i przegranej Rosji zmienił się stosunek zaborcy do Polaków. Pozwolono w gimnazjach uczyć religii w języku polskim i zezwolono chrzcić dzieci z małżeństw mieszanych w kościele katolickim. W Bogudzięce zebrano pieniądze na budowę kościółka. Problemem było otrzymanie pozwolenia na jego budowę, udało się je zdobyć dzięki staraniom Karola Grzybowskiego, dzierżawcy pobliskiej Jurówki. W grudniu 1908 roku nowo wybudowana kaplica została poświęcona jako filia kościoła parafialnego Machnówki w Bogudzięce³. Na poświęceniu było dużo duchowieństwa z Żytomierza i okolicznych kościołów, byli też Karol Grzybowski i jego młoda żona Jadwiga⁴. Mieszkańcy Bogudzięki cieszyli się, że mają kościół, do którego przyjeżdżał ksiądz i uczył dzieci religii. Martwiono się tylko, że wieś nie ma szkoły. Karol i Jadwiga Grzybowska mieszkali wówczas w Jurówce (2 km od Bogudzięki), dużej wsi liczącej ponad 3 tysiące mieszkańców, z czego jedną trzecią stanowili Polacy. We wsi była szkoła z językiem wykładowym

¹ Jadwiga Grzybowska, *Notatki z lat ubiegłych. Mój pamiętnik* – zbiory prywatne rodziny Grzybowskich.

² Wieś Bogudzięka, obecnie Listopadówka, położona jest na Ukrainie, rejon koziatyński, obwód winnicki.

³ Po rewolucji świątynię zamknięto, a w latach II wojny światowej znów była ona czynna. W 1947 roku kościół był restaurowany, odnawiany był także w 2013 roku kosztem parafian. Obecnie Listopadówkę obsługują księża diecezjalni z parafii Matki Bożej Dobrej Rady z Koziatynia. Na podstawie informacji dostępnej na stronie <http://rkc.in.ua/index.php?&m=n&f=a201403&tp=20140319b&tl=p>

⁴ Jadwiga Grzybowska (z domu Lipecka) urodziła się 2.08.1880 roku w Chiznikach (powiat Wołyń). W 1908 roku wyszła za mąż za Karola Grzybowskiego.

rosyjskim. O polskim nauczaniu nie można było nawet marzyć. Tego zadania podjęła się Jadwiga.

Ja, jako młoda mężatka, starałam się nieraz zgromadzić polskie dzieci u siebie, ucząc je w miarę możliwości po polsku. To było zabronione przez rząd i nieraz Karol miał z tego powodu nieprzyjemności od urzędników carskich, którzy często do nich zaglądali. Karol umiał żyć z ludźmi i w danym wypadku potrafił wytłumaczyć, że ja to robię dla rozrywki, a poparłszy swoje słowa monetą i jakimś prezentem w postaci prosiaka lub paru indyków i masła, sprawa była załagodzona, a urzędnik carski po dobrym śniadaniu czy obiedzie, dobrze zakopionym wódką lub koniakiem zadowolony odejść⁵.

Przyszedł rok 1914 i wybuchła pierwsza wojna światowa. Prawie wszyscy mężczyźni w wieku od 22 do 42 lat zostali powołani pod broń. Armia rosyjska szybko szła naprzód, zajmując Lwów i inne tereny Galicji. Z czasem Front zaczął się załamywać. Nastał rok 1917. Car Mikołaj II zrzekł się tronu, rządy objął Kiereński. Polakom przyznano prawa na równi z Rosjanami. Pozwolono otwierać polskie szkoły, oczywiście własnym kosztem.

Obywatelstwo polskie na kresach było bardzo ofiarne i ludzie byli zamożni. Sypnęły się pieniądze i tam gdzie była ludność polska, każdy dziedzic lub dzierżawca (Jurówkę już Karol kupił) uważał za swój obowiązek dopomóc do założenia szkoły w swojej wsi. Wszyscy właściciele ziemscy dobrowolnie opodatkowali się od dziesięciny na rzecz szkoły. Karol kupił duży dom w Jurówce, który od razu przerobiono na szkołę i mieszkanie dla kierownika⁶. Nauczycielstwa polskiego było dużo wśród uchodźców z Galicji. Już w maju 1917 roku na terenach powiatu berdyczowskiego zaczęło funkcjonować 70 szkół polskich. W Jurówce od razu zaczęło uczęszczać do szkoły polskiej 200 dzieci, uczyły 3 nauczycielki. Zarząd Macierzy Szkolnej był w Berdyczowie. Poszczególni członkowie mieli nadzór nad poszczególnymi szkołami. Do ich obowiązków należało śledzić, jak funkcjonuje szkoła



Zdj. 1 i 2. Szkoła w Jurówce, fot. Marian Grzybowski (2016)

⁵ Ten i pozostałe fragmenty pochodzą z tekstu Jadwigi Grzybowskiej, *op.cit.* (*Notatki z lat ubiegłych*).

⁶ Do dziś zachowała się w Jurówce część dawnej szkoły (fundamenty i parter), budynek został odremontowany, obecnie znajduje się w nim szkoła I i II stopnia.

i czy jest dobrze zaopatrzona w niezbędne pomoce naukowe, opał i sprzęty. Ja miałam nadzór na Jurówką, Osiczną i Bogudzięką. Niestety niedługo cieszyliśmy się tą swobodą. Już jesienią zaczęły się w kraju pojawiać bandy dezerterskie z frontu, które wracając z frontu do domu grabiły po drodze co się dało.

Trudno było bronić się przed dobrze uzbrojonymi bandytami, którzy napadali i mordowali tzw. „burżujów”. W październiku 1917 roku Jadwiga i Karol z dziećmi wyjechali i zamieszkali w Berdyczowie. W tym czasie cały ich majątek w Jurówce doszczętnie rozgrabiono. Nasiliły się prześladowania inteligencji i Polaków. W listopadzie 1918 roku rodzina Grzybowskiych wyjechała do Żytomierza. Dopóki miasto było w rękę wojsk ukraińskich pod władzą Petlury, był względny spokój, kiedy wkroczyli bolszewicy, zaczęły się aresztowania i rewizje.

Przed Bożym Narodzeniem 1919 roku rozeszła się wieść, że na bolszewików następuje armia generała Denikina. Walki były już niedaleko i słychać było kanonadę. Na nowy rok 1920 do Żytomierza przybyło wiele jeńców z rozbitego pociągu Denikina. W połowie kwietnia 1920 roku nad Żytomierzem pojawiły się samoloty polskie. W mieście powstała straszna panika, był ruch niesamowity, a po południu już wkraczała, bez boju, armia polska pod dowództwem Rydza Śmigłego. Bolszewicy znikli jak kamfora. Cała ludność wyszła na ulice radośnie witając nasze wojsko. Całą noc w mieście nikt nie spał. Rano od świtu tłumy zebrały się przed katedrą, po Mszy św. do zebranych na placu przemawiał Marszałek Piłsudski. Po południu tegoż dnia, odbył się pogrzeb poległych Polaków podczas zajęcia Żytomierza. Wojska polskie w szybkim tempie posuwały się na Kijów. Tak trwało parę tygodni.

Pewnego dnia zauważyliśmy jakiś niezwykły ruch w naszym mieście. Sztabowi oficerowie wyszli z domu i tylko ordynansi niektórych przyszli po ich rzeczy. Wojska polskie w pośpiechu i nieładzie wycofywały się. Do Żytomierza znów wkraczały oddziały armii Budionnego. Prześladowania Polaków zaczęły się ze zdwojoną siłą. Nie było chwili spokojnej, żeby nie szukano kogoś lub czegoś. Zaczęły się aresztowania i znęcanie nad ludnością. Nie upłynął tydzień, jak aresztowano Karola i osadzono w więzieniu.

Karol Grzybowski wrócił do domu wycieńczony, w ciężkim stanie zdrowia. W 1921 roku wraz z rodziną przedostał się przez „zieloną granicę” do Polski. Przez parę lat razem z żoną gospodarowali w Łysinie koło Dubna na Wołyniu. 12 października 1923 roku Karol Grzybowski zmarł. Po jego śmierci Jadwiga jeszcze rok mieszkała z synami w Łysinie, potem wyjechała do swojej siostry do Kowla i zaczęła się starać o posadę nauczycielki.

Latem 1925 roku Jadwiga Grzybowska została mianowana tymczasową nauczycielką publicznej siedmioklasowej Szkoły Powszechnej nr 4 w Ostrogu

⁷ Karol Grzybowski został zwolniony dzięki przedłożonej (oprócz łapówki) opinii. Zebrano kilkakrotnie podpisów. Ludzie z trzech wsi stwierdzili, że był dla nich dobry i pomagał biednym. Pozwolono mu zamieszkać z rodziną w jednym pokoju w suterrenach.

i podjęła pracę w tamtejszym sierocińcu. We wrześniu 1925 roku została przeniesiona do czeskiej wsi Hulcza Czeska na Wołyniu.



Zdj. 3. Pismo w sprawie nominacji na stanowisko nauczyciela tymczasowego z 8.08.1925 r.

Czesi byli do Polaków ustosunkowani niechętnie. W szkole panował straszny antagonizm między dziećmi czeskimi i ukraińskimi. Polaków w tej wsi nie było. Dostałam pokój w gmachu szkolnym, dość duży, jasny, ale strasznie zimny, a ponieważ nie miałam opału, to marzłam okropnie, pomimo to byłam szczęśliwa, że mam pracę. Ponieważ miałam maturę rosyjską (ukończone gimnazjum ogólnokształcące humanistyczne w Żytomierzu w 1908 roku), to wówczas była carska Rosja, dostałam posadę w szkole pod warunkiem, że do roku 1927 uzupełnię swoje kwalifikacje (zdam maturę w języku polskim i wszystkie przedmioty pedagogiczno-metodyczne). Musiałam energicznie zabrać się do pracy, nieraz całymi nocami siedziałam przy książkach. Podczas wakacji wyjeżdżałam na kursy doksztalające. Nie miałam chwili wolnej dla siebie, bo i w szkole było pracy moc, a oprócz tego, pracując w szkole czesko-ukraińskiej, musiałam uczyć się języka czeskiego, chociaż byłam nauczycielką przedmiotów prowadzonych w języku polskim.

Były to trudne czasy, ale dzięki wyteżonej pracy udało się jej zdać wymagane egzaminy i uzyskać pewną stabilizację. W 1930 roku na prośbę własną została

przeniesiona do siedmioklasowej szkoły powszechnej w Zdołbicy, pod miastem Zdołbunowem. W grudniu 1931 roku zdała egzamin praktyczny, uzyskując kwalifikacje nauczycielki publicznych szkół powszechnych⁸.



Zdj. 4. Dekret ustalania stałej nauczycielki publicznych szkół powszechnych



Zdj. 5. Legitymacja uprawniająca do przejazdów państwowymi środkami komunikacji wydana przez Inspektorat Szkolny w Równem.

Jadwiga pracowała w szkole z dużym zapałem i była szczęśliwa. Starszy syn Tadeusz zdał maturę i zaczął studiować na Politechnice Lwowskiej, młodszy Zygmunt ukończył gimnazjum humanistyczne w Zdołbunowie i po zdaniu matury wstąpił do zawodowej Szkoły Podchorążych w Ostrowie Mazowieckiej pod Warszawą. Obaj dobrze się uczyli. W 1938 roku Zygmunt dostał promocję na podporucznika piechoty i był przydzielony do pułku w Ostrowie Wielkopolskim. Tadeusz był na ostatnim roku Politechniki. Wydawało się, że los się do nich uśmiechnął. Wiosną 1938 roku zaczęto mówić o wojnie. Stosunki z Niemcami były bardzo napięte, ale było spokojnie.

W czerwcu 1939 r. po zakończeniu nauki w szkole prawie całe nauczycielstwo było powołane na kursy przeciwlotniczo-gazowe. Naturalnie zapisałam się natychmiast. Kurs był świetnie zorganizowany, wykładowcami byli: 2 lekarzy, jeden porucznik oraz 2 prelegentów z Równego. Wykłady oraz zajęcia praktyczne odbywały się w gmachu szkoły w Zdołbunowie od 8 rano do 3 po południu. Wprawdzie ze Zdołbicy od mego mieszkania miałam 3 kilometry, ale z przyjemnością robiłam ten spacer.

⁸ Jadwiga Grzybowska zdała 16 grudnia 1931r. egzamin praktyczny przeprowadzony na podstawie przepisów z dnia 14 grudnia 1928 r. (DZ.UR. Min. W. R. i O. P. Nr1, poz.3) i otrzymała Świadectwo praktycznego egzaminu na nauczyciela publicznych szkół powszechnych Nr 7/1931/32. Na tej podstawie 26 lutego 1932 r. została *stałą nauczycielką publicznych szkół powszechnych*.



Zdj. 6. Świadectwo ukończenia kursu dla komendantów i zastępców komendantów obrony przeciwlotniczej i domów mieszkalnych

Zbliżał się rok szkolny 1939/1940. Jadwiga Grzybowska, poza pracą w szkole, dużo czasu poświęcała pracy społecznej. Była przewodniczącą Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, podczas wakacji prowadziła półkolonie letnie dla dzieci przedszkolnych. Często organizowała kursy szycia i gotowania dla gospodyń wiejskich. Lubiła swoją pracę i była z niej zadowolona.



Zdj. 7. Nauczyciele i uczniowie przed szkołą w Powszechną w Zdobunowie (fot. ze zbiorów prywatnych)

Zdawało się, że będzie spokój. Od Tadzia otrzymałam z Warszawy list, żeby robić zapasy „na zimę”, to był umówiony znak, że będzie wojna. Narobiłam sporo przetworów owocowych, a jesienią miałam pełną piwnicę ziemniaków i jarzyn. 1-go września 1939 roku wstałam bardzo wcześnie i poszłam do szkoły, tam nie było jeszcze nikogo. Kierownik rano pojechał do Zdołbunowa po pieniądze, bo był naszym płatnikiem, a to był dzień wypłaty. Do szkoły zaczęli przychodzić uczniowie, a wkrótce powrócił kierownik bardzo zdenerwowany oznajmiając, że w nocy Niemcy rozpoczęli wojnę. Zbombardowali niektóre miasta i wtargnęli do Polski. Ogłoszono ogólną mobilizację. Spodziewaliśmy się nalotów na Zdołbunów, gdyż był to ważny punkt strategiczny i duża stacja węzłowa. Wiedziałam, że nie zobaczę już swoich synów. Nawet nie wiedziałam, czy listy dostanę. Rozpoczął się rok szkolny. Poprowadziłam polskie dzieci do kościoła do Zdołbunowa. Nad nami stale przelatywały samoloty, kilka razy był alarm, więc musieliśmy chować się do schronów. Dzieci były przestraszone, tuliły się do mnie jak kurczęta do kwoki. Wreszcie szczęśliwie powróciliśmy do klasy. Sprawdziłam obecność i wyznaczyłam miejsca w ławkach. Uczyłam klasę Ia, w klasie było 58 uczniów. Po krótkiej pogadance była przerwa. Niektóre dzieci płakały, bo już w nocy powołano pod broń ich ojców i braci. Po 3-ch lekcjach dzieci poszły do domu. Nikomu z nas praca nie szła. Każdy był myślami daleko. Krążyły coraz to gorsze pogłoski. Z naszego grona powołano jednego nauczyciela rezerwistę. W naszej szkole pracowało więcej nauczycielek. We wsi budowano, kopano schrony. Często były alarmy, podczas lekcji nieraz kilkakrotnie przerywano naukę i uciekano do schronów. Robiono to bardzo sprawnie. Na dany znak każda klasa wiedziała, którędy wychodzić i gdzie się chować tak, że przez 3 minuty po alarmie w szkole nie było już ani jednego ucznia. Tak samo po odwołaniu alarmu we wzorowym porządku powracano do klas. W nocy nauczycielstwo i harcerze pełnili dyżury sprawdzając czy okna dobrze zaciemnione. Przez Zdołbunów szły ogromne transporty wojsk na front. Nasze członkinie Związku Pracy stałe pełniły dyżury na dworcu w Zdołbunowie: roznosiłyśmy wśród wojskowych kanapki, kawę, papierosy i wodę, podczas alarmu wszyscy uciekali do schronów. Do nocnych dyżurów na stacji nie braliśmy harcerzy, bo to były jeszcze dzieci. Panował wzorowy porządek, ale nie było bombardowań.

Do Zdołbunowa napływali uciekinierzy z zachodu. Niemcy szybko zajmowali coraz to nowe tereny. Ludność Zdołbunowa w ciągu kilku dni powiększyła się dwukrotnie, brakowało żywności, sklepy były puste. Za wszystko trzeba było płacić niesamowicie wysokie ceny. Z Warszawy ewakuowano wiele urzędów. Niektóre ministerstwa ulokowały się w pobliskich czeskich wioskach na Wołyniu. Nauka w szkole coraz częściej była przerywana nalotami.

Wiadomości były coraz groźniejsze; opowiadano, że wszystko stracone, że lada dzień Niemcy będą u nas. Ukraińcy cieszyli się nadzieją, że Niemcy stworzą im niepodległą żółto-niebieską, bo taki był ich sztandar, Ukrainę. Zaczęto mówić, że sowieckie wojska też stoją na granicy. Niektórzy Polacy nawet chcieli uciekać do Ostroga – przez Horyń i na sowiecką stronę. Ja postanowiłam nigdzie się nie ruszać. Czekalam, co Bóg da. [...] Była piękna pogoda 17 września 1939 roku w niedzielę, poszłam do kościoła do Zdołbunowa, nic mi już nie obchodziło, co się dzieje dookoła – byłam strasznie przygnębiona. Zauważyłam jednak, że mniej krąży samolotów niemieckich. Natomiast zwróciłam uwagę na całkiem

nisko latające samoloty rosyjskie. W Zdołbunowie i w Zdołbicy panował jakiś dziwny nastrój. Cała ludność była na ulicy, żywo o czymś debatując. Gdy wróciłam do domu, spotkał mnie mój gospodarz (Rosjanin) z bardzo radosną miną oznajmiając, że za godzinę już będzie tu wojsko sowieckie. Pogratulował mi, że nalotów już nie będzie. Miałam takie wrażenie, jakby mi kto obuchem dał po głowie. Nie wiedziałam, co to ma znaczyć. [...] Jeszcze nie ochłonęłam z tego wrażenia, gdy posłyszałam warkot pędzącego motocykla, a za chwilę jechał rozjazd kawalerzystów sowieckich. Skóra mi ścierpła z wrażenia. Wszystko, co żyło we wsi, wyszło na ulice witać gości. Żołnierzy zapraszano do chat częstowano, kto czym mógł. Zdołbica była to duża (ponad 6.000 osób) wieś, ładnie zabudowana, a ludność była bardzo zamożna. [...] Następnego dnia grupa żołnierzy zajechała do szkoły. Zajęć nie było. Szkoła mieściła się w dużym starożytnym gmachu, gdzie przed 150 laty był kościół klasztorny. Gmach wyglądał bardzo okazale. Na podwórzu szkolnym w ogrodzie krzątał się kierownik szkoły, zbierając pomidory i owoce. Żołnierze widząc, że czuje się tu jak u siebie w domu, zapytali, czy On jest (pomieszcznik) dziedzic tego majątku? Ten nie rozumiejąc języka rosyjskiego, odpowiedział, że tak. Popatrzyli na niego nieufnie, ale już o nic nie pytali. Pan Burkowicz powtórzył mi tę rozmowę i był zdziwiony, że od razu nastawili się do niego tak niechętnie, wytłumaczyłam to Jemu. [...]

Wszystko popłynęło niby normalnym trybem. Nalotów nie było. Na ulicach rozlegał się śpiew żołnierzy. Wkraczały coraz to nowe oddziały, przeważnie kawaleria i artyleria. [...] Mówiono, że w Równem w szpitalu jest dużo rannych żołnierzy z frontu. Nowa władza zaczęła zaprowadzać porządku. Zaczęła się nauka w szkole. Ja dostałam pozwolenie na pojechanie do Równego. Obeszłam wszystkie szpitale, ale nikogo znajomego tam nie było. O Tadiusi ani Musiu nie miałam żadnej wiadomości. Polska była rozbita, nie wiedzieliśmy nic konkretnego, co się dzieje na świecie. Podawano niesamowite wiadomości, ale człowiek już w nic nie wierzył. Nasza szkoła została powiększona. Z ośmiu, od razu grono nauczycielskie wzrosło do dwudziestu osób. Otwarto kursy wieczorowe dokształcające. Kursy języka rosyjskiego dla przedpoborowych i wieczorową szkołę dla analfabetów. Cały dzień byłam zajęta w szkole, z której wracałam dopiero o 11 wieczorem. Było zarządzane powszechne nauczanie do 50 lat. Wszyscy musieli się uczyć, a że szkoła nie mogła tylu pomieścić, więc zbierano się po 10 osób w różnych chatkach i ktoś „gramotny” piśmienny uczył czytania i pisania. Nauczyciele poza swoją pracą w szkole mieli obowiązek kontrolowania tej pracy chałupniczej na wsi. Czasem odbywały się niesamowite awantury i nieraz do szkoły przybiegał jakiś chłop na skargę, że żona jego nie chce słuchać, a podczas nauki nieraz broni się kijem lub pięścią. Motywując swój opór tym, że „świnie głodne, krowy nie dojrone, kury nie macane, a on ją do nauki napędza. I tak ona nauczycielką nie będzie”. Takich scen było bardzo wiele. Poza nauką w szkole co wieczora odbywały się jakieś zebrania, odczyty, posiedzenia, które przeciągały się do późnej nocy. Wykładano jak walczyć ze szkodnikami zbóż, szczególnie z „dołgonosikiem” (owad, który podjada buraki), którego u nas wcale nie znano. [...] Tak upływał czas i zbliżała się jesień. W październiku w sali szkoły czeskiej urządzono wielki zjazd nauczycieli z całego powiatu – konferencja wychowawczo pedagogiczna. Przybyło dużo nowych nieznanym nam nauczycieli, a także przedstawiciele władz z „obłasti” z województwa i nawet z ministerstwa – Kijowa. Przyszliśmy wcześniej i usiedliśmy w swoim gronie na uboczu w sali, obserwując nowoprzybyłych. Wkrótce zapelniła się cała sala. Zaczęły się sprawozdania kierowników szkoły, poprzedzane

zagajaniem inspektora szkolnego. Po sprawozdaniach wygłoszono parę referatów. [...] Po skończonej konferencji powróciliśmy do normalnych zajęć w szkole. Byłam szczęśliwa, gdy po całodziennym dniu pracy mogłam choć w nocy odpocząć w domu. [...] Pewnego popołudnia o zmroku wybrałam się z naszym nauczycielem kierownikiem na osadę „Strzelce” pod pozorem kupienia mleka, a naprawdę to żeby się czegoś dowiedzieć. Gazet już dawno nie otrzymywaliśmy. Późnym wieczorem wracając, zauważyliśmy jakiś dziwny ruch na wsi. Było ciemno i zimno, mżył drobny deszcz ze śniegiem. Na polu nad szosą słychać było głosy i widać migające światełka. Musieliśmy przechodzić tą drogą, rada byłam, że nie idę sama. Gdy podeszliśmy bliżej, zauważyliśmy na rozległej płaszczynie poruszające się mrowie ludzkie otoczone wartownikami. „Kto idiot”, zapytał nas żołnierz z karabinem. Zaczęło się dochodzenie skąd i dokąd idziemy, i po co. Ja dobrze znam język rosyjski, więc wytłumaczyłam im jako dowód namacalny faszki z mlekiem. Okazuje się, że ten cały obóz to byli nasi żołnierze – jeńcy zatrzymani przez wojska radzieckie. Słychać było rozmowę przyciszoną w języku polskim. Serce mi się ścisnęło, tak bym chciała zapytać się czy tam nie ma kogoś z rodziny, ale nie pozwolono zbliżyć się do nich. Myśl o moich synach nie dawała mi spokoju. [...] Bolszewicy zagospodarowali się na dobre. Przez Zdołbicę przejeżdżały samochody naładowane różnymi rzeczami. Trudno było zorientować się dokąd jadą. W szkołach nauka szła normalnie, było dużo nowych nauczycieli nawet spośród naszych uczniów i uczennic, którzy w tym roku ukończyli siedmioklasową szkołę zdołbicką, a po 6-ciotygodniowych kursach już byli nauczycielami. Czasem taka młoda nauczycielka ze wschodu, która uczyła literatury w starszych klasach zadawała pytanie: jaka jest różnica między poetą a powieściopisarzem? Myślałam, że ona żartuje albo kpi ze mnie. Lecz okazało się że pytała zupełnie szczerze, „bo zapomniała”. Pracy było tyle, że nie można było marzyć o chwili odpoczynku. [...] Kursy języka rosyjskiego dla przedpoborowych prowadziłam ja, a także byłam kierowniczką PCK i LOPiP-u9 w szkole i po wkroczeniu Sowietów to zostało nadal przy mnie, tylko teraz pracy było więcej, bo przeprowadzano zajęcia praktyczne z maskami i ćwiczone się w robieniu bandaży i opatrywaniu rannych /oczywiście na zdrowych/. [...] W połowie lutego 1940 roku, jak zwykle bardzo wcześnie wyszłam do szkoły, bo miałam dyżur, a teraz obowiązywał nas czas wschodni /o 2 godziny zegarek był posunięty naprzód/. Zauważyłam wielki i dziwny ruch na ulicach pomimo tak wczesnej godziny. Gdy zbliżyłam się do szkoły, zobaczyłam, że na podwórku szkolnym chodzą wartownicy z karabinami i nikogo nie dopuszczają zbliżyć się. Okazało się, że wszystkich osadników i policjantów razem z rodzinami zebrano w szkole, aby odtransportować ich na dworzec do Ostroga wywożąc na Sybir. Pomimo to, że do Zdołbunowa było tylko parę kilometrów, jednak wieziono ich do Ostroga, aż 98 kilometrów w taki mróz i zawięz z małymi dziećmi i starszymi, chorymi rodzicami. Chcieliśmy choć w czymkolwiek pomóc tym biedakom, ale nie pozwolono zbliżyć się do nich ani nic im podać. [...] Po tym pierwszym transporcie zaczęto coraz częściej wywozić naszych ludzi na wschód w głąb Rosji i na Sybir, bo tak zarządził Stalin. Nikt nie był pewien, czy naajutrz nie obudzi się jako więzień lub zesłaniec w drodze na Sybir.

Zbliżyły się Święta Wielkanocne, które w tym roku były w końcu marca. W czasie Świąt odbyły się wybory do rządu sowieckiego. Polegały na tym, że każdy głosujący dostawał kartkę z wydrukowanymi nazwiskami, wkładał do koperty i wrzucał do urny. Wprawdzie

⁹ Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej.

można było coś skreślić, ale kartki były numerowane i łatwo było sprawdzić czyje są. My zrobiliśmy tak samo. Teraz żyliśmy ciągle pod strachem wywózki. Ile razy szłam do Zdołbunowa, obserwowałam, czy stoją puste wagony na torach, bo to oznaczało, że znowu szykuje się transport. Strach padł na ludzi, chociaż nikt nie poczuwał się do winy. [...]

Minęło lato, zbliżała się jesień, my w szkole dostaliśmy nowego dyrektora administracyjnego, bo dyrektorem pedagogicznym był nasz P. Burkowicz. Nowy dyrektor urządził przy szkole internat dla kilkoro dzieci sierot i bezdomnych. Tak upłynął rok szkolny 1940/1941.

Niedługo po zakończeniu roku szkolnego samoloty niemieckie zaczęły bombardować Zdołbunów. Wybuchła panika. Sowietci uciekali w stronę Ostroga, zostawiając wszystko. Do Zdołbicy i do Zdołbunowa wkroczyli Niemcy.

Z wkroczeniem Niemców nastąpiły inne porządki, nie wolno było pętać się po ulicy bez potrzeby. Od godziny 7-mej wieczorem nie wolno było wychodzić z domu. Żywność zaczęto wydawać na kartki. Ludziom niepracującym i starym wydawano tylko 25 deka chleba razowego i trochę ziemniaków i innych jarzyn. Pozamykano gimnazja i szkoły 7-mioklasowe, zostały tylko 4-roklasówki. Niemcy orzekli, że to wystarczające, personel nauczycielski zmniejszyli do minimum. Z wkroczeniem Niemców Ukraińcy bardzo wbili się w pychę, byli oni pewni, że Niemcy stworzą im niebiesko-żółtą niepodległą Ukrainę. Na Polaków patrzono z zaciętą nienawiścią i odrazą. W pierwszą niedzielę po wkroczeniu Niemców urządzono łapankę na mężczyzn. Złapano kilkudziesięciu Polaków wychodzących z kościoła, wsadzono do aut i potem rozstrzelano za miastem. Strach padł na mieszkańców. Zaczęto prześladować Żydów, którym kazano nosić okrągły żółty znak na piersiach i plecach, potem Żydów spędzono do getta, a ich mienie skonfiskowano. Mnie ze szkoły ukraińskiej przeniesiono do szkoły polskiej w Zdołbunowie. Mieszkałam w Zdołbicy, więc do szkoły w Zdołbunowie miałam więcej niż 4 km. Zaczęła się zima, która w tym roku przyszła wyjątkowo wcześniej i była bardzo mroźna, dochodziło do -20° mrozu. Opału nie można było nigdzie dostać, a sprzedawać opału zabroniono. Marzliśmy okropnie. [...] Tak upływała zima, ja pracowałam w polskiej szkole w Zdołbunowie, ale wkrótce i tą szkołę zamknięto. Udzielałam więc lekcji prywatnie dzieciom, których rodzice o to prosili. Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia 1941 r.[....] Ukraińcy bardzo wrogo byli nastawieni do Polaków. Ciągłe odgrażano się, że Polaków trzeba wymordować. Niemcy, chociaż to słyszeli, ale udawali, że nic nie widzą. Święta Bożego Narodzenia i Nowy 1942 Rok spędzaliśmy bardzo smutno. [...] Zbliżała się wiosna. W Wielki Piątek przed Wielkanocą urządzono okropną rzeź w Janowej Dolinie, „gdzie /w kamieniołomach/” pracowali Polacy w kopalni złomów bazaltu. Wymordowano przeszło 3.000 osób w jedną noc. To było pierwsze hasło. Potem zaczęto mordować Polaków w poszczególnych wsiach.[...] Mnie chłopci zdołbiccy bardzo lubili, pewnego wieczoru przyszli do mnie po cichutku i uprzedzili, żebym nie zostawała w Zdołbicy, a jak najprędzej stąd wyjeżdżała. [...] Sprowadziliśmy się do Państwa Włodkowskich w Zdołbunowie, zabierając tylko niezbędne rzeczy. Mieszkaliśmy wtedy znowu u Szewcowa na dawnym mieszkaniu, gdyż ja znowu zostałam zatrudniona w szkole w Zdołbicy, bo Niemcy pozwalali tych nowych nauczycieli po 6-cio tygodniowych kursach. Teraz ze Zdołbunowa chodziłam do szkoły w Zdołbicy. Zbliżała się piękna wiosna. Któregoś dnia, gdy przyszedłam rano do szkoły ze Zdołbunowa do Zdołbicy, plac przed szkołą naprzeciw cerkwi zwykle był pusty, gdyż było

to skrzyżowanie ulic w centrum osi. Zwykle na placu tym bawiły się dzieci i młodzież, bo było dużo miejsca. Jakaż byłam zdziwiona zobaczywszy, że w końcu ulicy na skrzyżowaniu coś zakrywa ogólny widok. Idąc z daleka i widząc to myślałam, że może znowu coś wiozą i tak zatarasowało drogę. Pomyślałam, że to jest złudzenie wzroku. Ale niestety, podchodząc bliżej zobaczyłam, że na skrzyżowaniu ulic stoi pomnik. Jak potem dowiedziałam się, wystawianie pomników – krzyżów ukraińskich – było hasłem do mordowania Polaków i tam, gdzie wystawiono krzyż, miała zacząć się rzeź ludności polskiej. [...] Okazało się, że w tę noc takich pomników wystawiono w Zdołbicy 20, na każdym skrzyżowaniu ulic.

Znowu zbliżały się wakacje, ja nadal pracowałam w szkole, a Tadzio na cegielni. Zaczęto mordować Żydów, strzelano do nich na ulicy. Wkrótce szkołę naszą zamknięto, a ulokowano tam oddział Madziarów. Madziarzy bardzo przychylnie odnosili się do Polaków. Wkrótce Madziarzy wyjechali, a w szkole ulokowano jakiś oddział młodych Ukraińców, przywiezionych na roboty z głębi Ukrainy. [...] Do Zdołbunowa przywożono całe auta pomordowanych i rannych Polaków. Było moc uciekinierów, których umieszczano w koszarach pędząc do roboty. Zaczęła się straszna epidemia tyfusu płamistego. Ludzie padali jak muchy. Przyczynił się do tego głód. Olbrzymie transporty jeńców sowieckich umieszczano za drutem kolczastym, prawie ich nie karmiąc, a kto ośmielił się rzucić choć kawałek chleba, to niemiecki lub ukraiński wartownik strzelał bez uprzedzenia. Żal ścisnąć serce patrząc na tych nieszczęśliwych ludzi. Niemcy szybkim tempem posuwali się na Kijów.

Latem 1942 roku Jadwiga Grzybowska zachorowała. Dokuczało jej serce, puchły nogi. Ponieważ nauczycieli wysyłało wówczas na kursy wakacyjne lub do obozów pracy, musiała stawić się przed komisją lekarską. Komisja składająca się z niemieckich i ukraińskich lekarzy orzekła niezdolność do pracy i skierowała ją do szpitala. W tym czasie ze Zdołbunowa wiele osób wyjeżdżało do swoich rodzin w Polsce. Wyjechali też znajomi Jadwigi. Ponieważ nie miała informacji na temat swojej rodziny, nie знаła miejsca ich pobytu i nie wiedziała, czy żyją, zdecydowała się pozostać. Tu dotarła do niej wiadomość o śmierci młodszego syna¹⁰.

Mijało lato, zbliżała się jesień; na froncie niemieckie sukcesy osłabły. Zaczęto przebąkiwać, że front niemiecki załamuje się. Zbliżał się wrzesień, o rozpoczęciu roku szkolnego nikt nie myślał. Dzieci były bez szkoły. Do mnie coraz więcej zgłaszało się dzieci polskich, które uczyłam prywatnie, szczególnie chodziło tu o dzieci klas młodszych, aby nie zostały analfabetami – bo potem trudno będzie, gdy przyjdą czasy normalne. Warunki były okropne. Ani książek ani zeszytów czy atramentu lub ołówków. Uczyłam w domu w swoim mieszkaniu, ale zbliżała się jesień i dni były coraz krótsze, a żarówek nieraz było brak lub światło gasło. Był w Zdołbunowie pusty barak, do którego przychodzili ludzie z pracy na obiad wydawany pracownikom przez Niemców. Z rana przed obiadem ten barak był wolny, więc uczyłam tam dzieci. Za tablicę służył nam duży kawał czarnej blachy. Kredy było pod dostatkiem, bo Zdołbunów miał olbrzymie złoża kredy, którą używano do cementowni, więc kredy

¹⁰ Ranny na początku września w bojach pod Kutnem Zygmunt Grzybowski podporucznik 60 pułku piechoty, zmarł 27 października 1939 roku. Pochowany został na Cmentarzu Wojskowym w Warszawie na Powązkach.

nie brakło. Papier skrętnie wyzebrywałam u znajomych, używałam niewykończonych zeszytów a nawet papier pakunkowy i okładki zeszytów.[...]

Zbliżało się Boże Narodzenie, my z grupą dzieci, które uczyłam przy pomocy ofiarnych ludzi, wspólnymi siłami urządziliśmy na wigilię w baraku choinkę, a nawet zaprosiliśmy naszego księdza prałata Siennickiego i kilku Niemców z Gebitzkomisariatu. Podzielono się opłatkiem. Dzieci śpiewały kolędy, deklamowały wiersze, a potem wszyscy dostali paczki z upieczonymi przez nas placuszkami. Dzieleno się opłatkiem nawet z tymi oficerami niemieckimi, którzy tak nieufnie po małej okruszynie kosztowali opłatek.[.....] Po Świętach Bożego Narodzenia znowu zaczęło się takie samo życie. Zdobywanie jakiejś żywności i prywatne uczenie dzieci w baraku.

Na początku 1943 roku ze Zdołbunowa dużo osób wyjechało do Polski. Do miasta przywożono coraz więcej rannych z frontu. Żywność wydawano „na kartki”, ale w sklepach spożywczych prawie nic nie było.

Po nowym roku były otwarte niektóre szkoły tylko czteroklasowe. Ja znowu byłam powołana do pracy w szkole Nr 2 w Zdołbunowie. Kto gdzie pracował, był zarejestrowany otrzymując karty meldunkowe /żółte/, z którymi musiano co miesiąc zgłaszać się do „Arbeitsamt” dla podbitcia kart. Jeżeli karta nie była podbita, nie dostawało się żywności. Nasz przydział chleba przynoszono nam do szkoły w ten sposób, że 2 razy w tygodniu nasz woźny z kartkami udawał się do sklepu po chleb i otrzymywał dla wszystkich. Było tego tak mało, że przydział dla 20 nauczycieli za pół tygodnia przynosił w worku na plecach. Czasem otrzymywaliśmy trochę sera z odcieranego mleka lub 0.5 litra maślanki. Żyło się tak, aby nie umrzeć z głodu. Przez Zdołbunów często szły transporty aut ciężarowych pełno załadowanych. Coraz częściej mówiono, że Niemcy przegrywają. Skończył się rok szkolny.

Beruf *Lehrerin* 6
 Gesch *Brumowska*
 Grund *Zum Arbeitsort*
 причина *мисце працы*

(Abdruck des linken Zeitglases)
 (відбиток лівого часу або пружини)

Falls der Personalausweis hierzu keine Angaben enthält:*)
 Якщо особисте повідомлення про це не введено:*)

weitere Vornamen
 додатки імена

geb. am *18.12.1894* in *...*
 народжений (-а) дня *18.12.1894* у *...*

wohnhaft in *...* Rayon *...*
 мешкає у *...* (районська, вулиця, номер дому) район *...*

Volksstum — angeblich*)
 національність — за словами предків/татка*)

den *18.12.1943*
 (Ort — місяць) *1943*

Für den Gebietskommissar
 за територіального комісара

(Damen-
 штамп)
 (для жінок
 пенсилья)

Der Rayonchef
 Голова району
 і. А. — *...*

*) Nichtstaatliche Ausländer:
 Невірніле іноземці.

Zdj. 8. Przepustka do miejsca pracy do Zdołbunowa

Po wakacjach w 1943 roku szkoły nie uruchomiono. Jadwiga Grzybowska uczyła prywatnie u siebie w domu. Prawie wszyscy Polacy z okolicy zamieszkali w Zdołbunowie, bo na wsi wielu wymordowano, a ci co przeżyli uciekli do miasta. Niemcy zaczęli się ewakuować. Przez Zdołbunów przejeżdżały transporty czołgów. Wraz ze zbliżającymi się Świętami Bożego Narodzenia zbliżał się front. W lutym 1944 roku kanonada rozlegała się coraz częściej i głośniej. Z jednej strony strzelali Rosjanie a z drugiej Niemcy. W połowie lutego 1944 roku do miasta wkroczyły wojska sowieckie. Zaczęto mówić o poborze Polaków do armii. Młodzi ludzie deklarowali swój

udział w walce z Niemcami. Powołanie do wojska otrzymał też Tadeusz (syn Jadwigi).

W tym czasie, bo już 24 lutego, w Zdołbunowie zaczęto wprowadzać nowe porządki. Kto miał niemieckie pieniądze musiał zdać za pokwitowaniem do kasy skarbowej. Uruchomiono szkoły i nauczycielom kazano przystąpić do pracy. Ja znowu zgłosiłam się do polskiej szkoły, która od razu stała się 10-cioklasówką z 20 nauczycielami, byli to przeważnie Polacy, a dzieci były tylko polskie i naukę prowadzono w języku polskim. Spotkałam tu cały dawny personel nauczycielski i kilka osób nowych. Było 2 dyrektorów, p. Burkowicz był dyrektorem pedagogicznym, a pan Świątek administracyjnym. Język rosyjski i język ukraiński były obowiązkowe. Oprócz tego był język francuski. Dzieci było ponad tysiąc. Było kilka pierwszych klas, w ogóle młodsze klasy były bardzo liczne. Zaczęła się praca, w mieście był spokój, front był daleko. Niemców pędzili na zachód. Niedługo cieszyliśmy się spokojem, 19 marca był nalot niemiecki na Zdołbunów: bombardowano dworzec kolejowy i cementownię, ale bez skutku, zostało zabite parę osób na dworcu i na torach kolejowych. Większych strat nie wyrządzono. [...] Pierwszego maja bardzo uroczystie szykowano się do obchodu tego święta. Dla większej parady wszystkie rynsztoki pomalowano białym wapnem, co na ciemnym tle szosy asfaltowej i chodników wyglądało bardzo jaskrawo. Wieczorem 30 kwietnia bardzo uroczystie rozpoczęto majowe nabożeństwo, na którym była prawie cała ludność Zdołbunowa – bardzo pobożna. Po powrocie do domu wcześniej poszliśmy spać. Ledwie ściemniło się, usłyszeliśmy charakterystyczny warkot samolotów. Zaczęło się niesamowite bombardowanie. Całe miasto tak było oświetlone reflektorami i świecami powietrznymi, że szpilki można było zbierać na ulicy. Powstała nieopisana panika, uciekać z domu było niemożliwe. Schronów nie było. Siedzieliśmy w pokoju zdani na los i modliliśmy się szczerze. Huk i trzask od walących się gmachów i od gwizdających bomb był ogłuszający. Tak trwało do świtu. Nadlatywały coraz nowe eskadry i waliły w miasto niemiłosiernie. Gdy bombardowanie skończyło się, słychać było jęki rannych, bieganie pomocy ratunkowej, gaszenie pożarów i płacz nieszczęśliwych ludzi. Gdy wyszłam na ulicę miasto wyglądało jak pobojuwisko. Jako tako ulice uprzątnięto i o godzinie 10-iej był pochód 1-szomajowy, ale wszyscy tylko nad słuchiwali, czy nie lecą samoloty. To był pierwszy większy nalot na Zdołbunów. [...] Bombardowania trwały bez przerwy do 16 lipca 1944 roku. W mieście dosłownie ocalało tylko kilka domów, oczywiście bez okien, które były nie tylko powybijane, ale nawet ramy okienne i drzwi a także wszystkie piece były rozwalone od wstrząsu. Zdołbunów miał 7 szkół i ani jedna nie ocalała, stały tylko nagie mury, a niektóre nawet bez dachów.

Wszędzie były ruiny. W pobliżu zniszczonej szkoły zachowała się duża, drewniana szopa z oknami pod sufitem przeznaczona na magazyn zboża. Były w niej podłoga i część piętra.

Dyrektor szkoły uzyskał pozwolenie na zorganizowanie na jakiś czas w tym budynku zajęć szkolnych. Oczywiście pozwolono skorzystać z tego budynku, który natychmiast wspólnymi siłami umyto i uprzątnięto i postawiono ławki: w ten sposób, że ławki każdej klasy były w odległości od klasy następnej o 4 metry wzdłuż i 3 metry obok; ale ta cała olbrzymia sala była jedna. Zmieściło się tak 6 klas w tej sali, a reszta klas urządzono na piętrze. Tak, że już w końcu lipca szkoła mogła funkcjonować. Dzieci były bardzo przejęte i zachowywały się wzorowo. Nauka była prowadzona równocześnie we wszystkich klasach

półgłosem, żeby nie przeszkadzać innym. Dzieci miały tak skupioną uwagę i tak się starały, że z całą przyjemnością można było prowadzić pracę. W międzyczasie zwołano zebranie rodziców, aby coś pomyśleć o remoncie zbombardowanej szkoły. Inspektorat szkolny, widząc naszą ofiarną pracę, ofiarował na ten cel tylko 2 tysiące rubli, co nie wystarczyło nawet na materiał. Ale bezinteresowną pracę swoją ofiarowali rodzice naszych dzieci, różni rzemieślnicy, tylko pod warunkiem, żeby rozwalone piece i połamane drzwi uporządkować. Całe cegły składano osobno a połamane kawałki osobno. Do tej pracy zebraliśmy się wszyscy: całe grono nauczycielskie z uczniami 9-tych i 10tych klas. Oczywiście, że pracowaliśmy po nauce, do późna, a nasi rzemieślnicy też po pracy zawodowej, zabierali się do odremontowania szkoły. Praca postępowała w szybkim tempie. Dzieci nie traciły czasu, bo uczyły się w tej szopie. Potem wprost cudem jakimś uzyskano szkło, tak że 1-go września szkoła była gotowa do użytku. Z jaką dumą i radością spoglądaliśmy na ten nasz wprost bohaterски czyn. Inne szkoły rozbite stały rozwalone i nikt ich nie ruszał. Grono nauczycielskie z tamtych szkół na razie było nieczynne. Wprawdzie w sierpniu zaczęto remontować szkoły, ale szło to tak opieszale, bo ani środków większych, ani materiału nie było. Nie było nadziei, żeby choć w październiku można było uruchomić szkoły. Nie pamiętam, żeby dzieci kiedy uczyły się tak chętnie i tak przestrzegały porządku w szkole jak obecnie. Bo ceniono tutaj pracę swoją i swoich rodziców. 1 września 1944 roku zebraliśmy się w szkole. To był pierwszy dzień rozpoczęcia nauki. W klasach już wszystko było w porządku. [...] W szkole nauka szła normalnie, tylko był wielki brak papieru, zeszytów i w ogóle sprzętu szkolnego i pomocy naukowych. Zeszyty robiliśmy z białego papieru pakunkowego, a ołówki i stalówki to były czymś niedoścignionym. Musieliśmy bardzo oszczędzać wszystko. Minał październik, zbliżały się święta październikowej rewolucji, które obchodzono w początku listopada. Zwykle świętowano 6 i 7-go. Przygotowywano się do obchodu tej rocznicy z wielką paradą. Cała uroczystość miała odbywać się w sali szkoły czeskiej. Każda szkoła urządzała jakiś występ. Ale balet naszej szkoły zakasowała wszystkie inne. Kujawiaka tańczyły dwie dziewczynki z I-ej klasy w strojach kujawskich. Potem dziewczynki z 10-ej klasy w balowych długich sukniach, a inne przebrane za oficerów polskich w oficerskich mundurach tańczyły walca z kotylionami. Na ostatku ten sam zespół zatańczył mazura z figurami. Nasz balet wywiązał się ze swego zadania znakomicie, zrobił furorę. Cała uroczystość wyglądała tak: najpierw akademia i przemówienia, a potem występy. Podczas akademii ogłoszono nam, że my Polacy możemy wyjeżdżać do Polski do swoich rodzin. Kto ma jaką własność, to tu zostawia, a w Polsce na terenach zdobytych może otrzymać coś w zamian. Rzeczy osobiste można ze sobą zabrać do 200 kilo. Mebli zabierać nie można. Kto życzy sobie wyjechać, musi się zgłosić i zapisać do kogo i dokąd. Ja, jak to posłyszałam, to wiedziałam, że te nasze kochane tereny wołyńskie są już dla nas stracone. Czułam się tak, jakby mi ktoś coś wyrwał spod serca. Już mię nie interesował ani balet, ani występy szkół, siedziałam jak nieprzytomna, a myśli błądziły daleko. Było tak strasznie ciężko na duszy i nic mię nie cieszyło. Czekałam, aby już ta uroczystość i zabawa jak najprędzej się skończyła. Po odejściu dzieci, dorośli tańczyli i pili do rana. Ja wymówiłam się bólem głowy i poszłam do domu. Potem chodzono po domach i zapisywano, kto chce wyjeżdżać i dokąd. Podałam Kraków, gdyż tam była moja rodzina. Dopiero teraz odczułam to, jak jestem przywiązana do tej ziemi wołyńskiej. Urodziłam się na Wołyniu, kształciłam się w Żytomierzu, a to było takie kochane polskie miasto, tyle miało naszych pamiątek i tak miłe wspomnienia zachowałam z tamtych czasów. [...]

Ze Zdołbunowa w listopadzie poszedł jeden transport do Polski, ale jak dojechali, gdzie się ulokowali, nie było żadnej wiadomości. Różni ludzie różnie opowiadali, ale co było prawdą – nie wiadomo. Czekano, aż pojedzie drugi transport. [...]

Po Nowym Roku 1945 zaczęła się normalna nauka. Zaczęto przebąkiwać, że w mieście są aresztowania. Że są częste rewizje po domach. Ogłoszono, żeby wieczorem nikogo nie wpuszczać do mieszkań, gdyż są tacy, że pod różnymi pozorami wkradają się do domów i rabują. Nie wiem, co wtedy mogli mieć ludzie do zrabowania po tych bombardowaniach, kiedy drzwi i okna przez całe lato były wyłamane. Byliśmy wszyscy zdenerwowani. Aresztowania były coraz częściej, wreszcie aresztowano nauczycielkę Rogowską z naszej szkoły i naszego kierownika Pana Burkowicza i żonę jego, była nauczycielką, mieli 2 dzieci, a przed kilkoma dniami urodziła się znowu dziewczynka. Aresztowanie pana B. podziało na nas okropnie – no bo za co? Człowiek ten był całą duszą oddany szkole, był bardzo pracowity i świetny pedagog. Potem znowu aresztowano kilka osób znajomych. Teraz już nikt nie był pewien, czy noc spokojnie przeżyje i czy jutro nie obudzi się jako więzień. 10 stycznia dość długo byłam w szkole, bo miałam jeszcze zeszyty do poprawienia, więc aby nie nosić do domu, chciałam choć część poprawić w szkole. Dzień był pochmurny i wilgotny, mżył drobny deszczyk ze śniegiem, pod nogami chlupało błoto. Po jakimś czasie skończyłam poprawianie zeszytów i położyłam się spać. Około północy obudziło mnie mocne pukanie do drzwi, Z początku nie odzywałam się, ale do drzwi dobijano się coraz mocniej. Podeszłam i powiedziałam, że jest rozkaz nikogo nie wpuszczać do mieszkania po godzinie 10 wieczorem. Wtedy odpowiedział mi głos po rosyjsku: „Jadwiga Aleksandrowna imieniem zakona otworzyć” – „Jadwiga Aleksandrowna w imieniu prawa proszę otworzyć”. Skóra na mnie ścierpła. Nie było rady, w domu byłam sama, musiałam otworzyć. Weszło trzech milicjantów i nasz gospodarz jako świadek. Posłano też do państwa Wciślickich i poproszono na świadka panią Kowerską – siostrę pana Wciślickiego. Zaczęto robić rewizję. Od razu pokazałam zeszyty leżące na stole, mówiąc, że to zeszyty ze szkoły, więc ich nie ruszali. W domu wszystko przewrócili do góry dnem, ale nic podejrzanego nie znaleźli, wzięli jedną czystą kartkę pocztową ze znaczkiem hitlerowskim. Zaczęli pytać się, czemu mam tę kartkę i skąd? Powiedziałam, że podczas okupacji niemieckiej chciałam napisać list do rodziny, ale nie byłam pewną, czy mieszkają na dawnych mieszkaniach, więc nie pisałam i kartka została. Rewizja trwała całą noc. Było jeszcze ciemno, kiedy kazano mi się ubrać i pójść z nimi, bo muszą cokolwiek jeszcze się zapytać. Ja byłam tak zdenerwowana, że nawet bucików nie włożyłam, ale na nocne pantofle ubrałam kalosze i tak poszłam. Całe moje mienie, wszystkie rzeczy urzędnicy zapisali i zdali pod nadzór gospodarzom i tym ludziom, którzy byli obecni przy rewizji i kazali podpisać się, że rewizja odbyła się prawidłowo i kulturalnie, oczywiście że musieliśmy podpisać się, że nie mamy żadnej pretensji. Konwojenci i ich naczelnik odnosili się do mnie nawet bardzo grzecznie. Już było szaro na niebie, przed świtaniem, gdy mnie wyprowadzono z domu. Poradzono mi, żeby wziąć coś do zjedzenia, bo będę głodna. Wzięłam w teczkę szkolną, do której włożyłam ręcznik, mydło i kawałek chleba. Zdawało mi się, że już mi nic na świecie nie potrzeba. Prowadzono mnie w kierunku kościoła. Modliłam się, aby Chrystus Ukrzyżowany wziął mnie pod swoją opiekę.

Jadwiga Grzybowska aresztowana została 11 stycznia 1945 roku. W połowie lutego, wraz z innymi zatrzymanymi nauczycielami została przetransportowana do więzienia w Równem.

Pewnego dnia, a było to 9 maja 1945 roku obudziliśmy się od wystrzałów karabinowych to pojedynczych, to całymi salwami. Niektóre kobiety zaczęły prędko zbierać swoje manatki myśląc uciekać, ale dokąd? Byłyśmy dobrze zamknięte i za mocną kratą. Czekaliśmy zaciekawione, co się stało? Gdy było hasło do wstawania „podjom”, dowiedziałyśmy się, że wojna z Niemcami skończona. Niektórzy bardzo cieszyli się, dlatego że nas na pewno wypuszczą na wolność. Ja nie miałam tej nadziei, bo wiedziałam, że gdy się „trafi” do więzienia, to nie tak łatwo z niego się wykaraskać. Wprawdzie nie czułam za sobą żadnej winy i ciekawa byłam, co mi mogą zarzucić, za co mię posadzili? Wprawdzie uczyłam prywatnie dzieci i pomagałam tym nieszczęśliwym rozbitkom – pomordowanych ludzi przez banderowców, no i podczas okupacji niemieckiej tu byłam. Chociaż było już oficjalnie wiadomo, że wojna skończona, ale w naszym więziennym życiu nic się nie zmieniło. Upłynęło jeszcze parę tygodni. Pewnej nocy rozbudziło nas pukanie do okienka. Przez „judasza” /okrągłe okienko w drzwiach każdej celi, przez które nas obserwują dyżurni/ patrzył dyżurny konwojent. Zaczął on wymieniać niektóre litery alfabetu, pytając czyje nazwisko zaczyna się na literę G. Powiedziałam swoje nazwisko. Otworzył drzwi, kazał mi wyjść. Prowadził mię do następnego budynku na śledztwo. Wszędzie były drzwi okute mocno żelazem i obite jakimś materiałem: dermą czy ceratą, wyglądały jak watowane. Pokój, w którym odbywało się śledztwo był niewielki, z biurkiem pod oknem, dwa krzesła obok biurka i taboret przy drzwiach, na którym kazano mi usiąść. Taboret był przyśrubowany do podłogi. Przy biurku siedział śledczy /sędzia kapitan/. Sprawdził moje personalia i zaczął zadawać różne pytania. Do jakiej organizacji należałam? Dlaczego, gdy w 1941 odstępowała armia radziecka podczas wojny z Niemcami, dlaczego ja zostałam przy Niemczech? Dlaczego nielegalnie uczyłam dzieci podczas okupacji niemieckiej i czemu Niemcy mnie nie aresztowali ani nie wywieźli? Co ja uczyłam dzieci z historii polskiej i geografii o terenach polskich. Wytłumaczyłam, że miałam uczniów całkiem małych I i II klasę, którzy w ogóle nie uczą się jeszcze ani historii, ani geografii. Śledczy pokręcił głową i powiedział, że nie chce odpowiadać na pytania, wreszcie kazał mię odprowadzić do celi. Tak minęła noc, bo śledztwo trwało prawie do rana. Gdy wróciłam, zaraz zaczęli mnie pytać, o co mię pytano? Wiedziałam, że żadnej konkretnej winy mi nie zarzucają. Myślałam, że po śledztwie mnie zwolnią. Niestety, nic się nie zmieniło. Co pewien czas wywoływano mnie na śledztwo /badania/ zawsze w nocy. Ciągłe pytano o to samo. Zadawano pytania, wymieniano nazwiska niektórych osób, pytając, co o nich wiem. Odpowiadałam, że pracując przez 20 lat w szkole, spotkałam się z różnymi nazwiskami i różnymi ludźmi – rodzicami moich uczniów. Wiele uczniów miało takie same nazwiska nie będąc z jednej rodziny, ale bliższych szczegółów nie mogę podać, gdyż z nikim nie utrzymywałam kontaktów towarzyskich. Byłam stale zajęta pracą w szkole. Nieraz sędzia śledczy unosił się, wychodził z cierpliwości grożąc, że zmusi mię do mówienia „prawdy”, ale byłam na to wszystko nieczuła.

We wrześniu 1946 roku cały zespół zdolbunowskich nauczycieli postawiono przed sądem, który odbył się przy zamkniętych drzwiach. Odczytano

wyroki skazujące: 5 lub 10 lat więzienia, pozbawiono ich też na ten okres czasu praw publicznych. Jadwiga Grzybowska dostała wyrok 5 lat. W 1946 roku więziona była w Darnicy i Kijowie, w 1947 roku w Wolnym Futorze, Dniepropietrowsku, Kirowie i Abeziu. W grudniu 1947 roku została wywieziona do Jaty w Komi ACCP. Był tam obóz pracy liczący kilkanaście tysięcy osób, mężczyzn i kobiet¹¹.

Pracowano tu w szachtach, to znaczy w kopalniach węgla, ale ponieważ to była zima, to musiało się świecić stale, gdyż na północy nie było w zimie dnia, a od połowy kwietnia do końca sierpnia wcale nie było nocy, był to czas tak zwanych „białych nocy”. Karmiono nas tu lepiej dlatego, że przy 70° mrozu i słabym odżywianiu, to nikt by nie wytrzymał. Mrozy tu były straszne, a gdy zaczęła się zima, to mróz trwał cały czas bez przerwy i sypał śnieg. Jakież było moje zdziwienie, gdy spotkałam tu swoje uczennice ze szkoły w Zdobicy, były to przeważnie banderówki zasądzone na 15 lub 20 lat więzienia. Kiedyś podczas rozdawania posiłku podszedł do mnie jeden z kucharzy, dość przyzwoicie wyglądający i zaczął bardzo serdecznie witać się ze mną. Powiedziałam, że widocznie przyjął mnie za kogoś innego – okazało się, że to był mój uczeń ze wsi Lidawy, który chodził do mnie od 1-ej do 4-ej klasy do szkoły w Hulczy Czeskiej. Teraz wyrósł na eleganckiego mężczyznę i poznał mnie. Na drugi dzień przyszedł podczas obiadu kucharz naczelny /szef powar/, który rządził prowiantem całego tego obozu, był to też człowiek z Lidawy, zamożniejszy gospodarz, z pochodzenia trochę Czech. Na wolności, oprócz gospodarstwa rolnego, zorganizował on także zespół muzyczny i grywał podczas różnych uroczystości i na zabawach w szkole lub na weselach nie tylko na wsi, ale i w mieście. Sam pięknie grał na skrzypcach. Teraz w więzieniu był kucharzem. Ucieszył się bardzo, gdy mnie tu zobaczył. Pierwsze jego słowa były, co ja tu robię? Powiedziałam, że tu teraz nie robię nic, a jestem tu dlatego, bo zarzucają mi, że przedtem za wiele robiłam dla dobra ludzi. Nieraz podczas obiadów przysyłał mi przez swoich kucharzy /okazało się, że miałam tu kilku swoich uczniów/ coś do zjedzenia oprócz przepisowego posiłku. Oczywiście, że wszystkim dzieliłam się z innymi. To było nasze więzienne prawo, że każdy dzielił się z innymi.

Jadwidze Grzybowskiej wyrok skończył się w styczniu 1950 roku, poinformowano ją o tym dopiero w październiku.

Powiedziano mi, że stąd wywiozą nas, ale do domu nie puszczą. Bo kto trafił do Jaty, /to więzienie karne i bardzo rygorystyczne/, stąd do domu już się nie powraca, lecz pozostaje się gdzieś na terenie Rosji w określonym przez władze miejscu. Tak upłynął jeszcze cały rok 1951 i 1952. Dopiero jesienią, w początku sierpnia 1952 roku zawołano nas na etap.

¹¹ Jadwiga Grzybowska skazana została 04.09.1946 roku. Przebywała w łagrach od 19.10.1949 roku do 11.08.1951 roku. W 1951 roku została przewieziona do Tomsku, tam przebywała w Domu Inwalidów, źródła: Kartoteka alfabetyczna (zgłoszenie indywidualne osób powracających z obozów oraz zgłoszenia poszukiwanych po 1945 roku), Biuro Informacji i Poszukiwań PCK w Warszawie. Karty ewidencyjne z kartoteki osób więziennych w Inłagu/Minłagu, Archiwum Wydziału Penitencjarnego Ministerstwa Sprawiedliwości Federacji Rosyjskiej w Republice Komi (Workuta), <http://www.indeksreprejonowanych.pl/>

Powieźli nas znowu przez kirowską peresylkę, przez Swiergłowsk, Nowosybirsk i Tomsk do Kołparzowa w środkowej Azji na Sybir. W każdej z tych miejscowości zatrzymywano nas na parę tygodni lub miesięcy i potem znowu jechaliśmy dalej jak zwykle.

W 1952 roku Jadwigę Grzybowską umieszczono w Domu Inwalidów w Krugłoje¹². To tam pisała kolejne podania z prośbą o odesłanie do Polski. Długo starała się o zgodę. W lipcu 1953 roku, po śmierci Stalina, ogłoszono amnestię. Udało się jej wrócić do kraju i bliskich we wrześniu 1955 roku. Zamieszkała w Mielcu z synem, synową i wnukami. Po powrocie zapisała się do Związku Nauczycielstwa Polskiego. Dopóki zdrowie jej pozwalało, prywatnie uczyła języka rosyjskiego. Zmarła 22 maja 1982 roku, przeżywszy 91 lat. Na jej grobie widnieje napis: Pedagog z powołania, z przymusu Sybirak.

Opracowała: Barbara Rusinek – wnuczka Jadwigi Grzybowskiej

¹² Jadwiga Grzybowska w Domu Inwalidów w Krugłoje przebywała do 10 sierpnia 1954 roku.